Charles Dickens

DZWONY UPIORNE

WYDANIE DWUJĘZYCZNE

Charles Dickens

Dzwony upiorne

*

The Chimes

Pobierz darmowy ebook

Ucz się z Wymownią

Ilustracja na okładce: niekverlaan
ISBN 978-83-953177-0-5

Wydawnictwo Wymownia: www.wymownia.pl

Polska wersja językowa w tłumaczeniu anonimowym z 1923 roku.
Angielska wersja językowa zgodna z wydaniem z roku 1844.

KAROL DICKENS

DZWONY UPIORNE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niewielu ludzi — dla najrychlejszego porozumienia z czytelnikiem, zaznaczam odrazu, że uwagi swej nie odnoszę ani do ludzi młodych, ani do niższych warstw należących, lecz wogóle do wszelkiego rodzaju ludzi, biednych i możnych, młodych i starych, dorastających jeszcze i już dogasających — tedy niewielu ludzi, powiadam, spałoby chętnie w kościele. Nie mówię o spaniu podczas kazania przy ciepłem powietrzu (co się już raz czy dwa razy w istocie przydarzyło) lecz w nocy i samemu. Niejednego zdziwiłoby w wysokim stopniu to twierdzenie, gdybym mówił o spaniu w jasny dzień. Ale ja mówię: w nocy. Należy to zrozumieć: w nocy. I jestem tak śmiały, że zobowiązuję się tego dowieść w pierwszy lepszy wietrzny dzień zimowy, na pierwszym lepszym przeciwniku, który przyjdzie do mnie sam jeden na stary cmentarz pod stare wrota kościelne i z góry mnie upoważni do zamknięcia go tam aż do rana — o ile mu coś takiego specjalną sprawia przyjemność.

Bo nocny wicher ma złe przyzwyczajenie wałęsania się i wzdychania dokoła takich budynków, szarpanie niewidzialną ręką drzwiami i oknami, celem wyszukania szpary, przez którą mógłby się wcisnąć. A gdy mu się to uda, jęczy i wyje, jak ktoś, co nie znalazłszy czego szukał, pragnie się znów wydostać, przyczem nie zadawalnia się wianiem po korytarzach, świstaniem w okół filarów, uderzaniem w organy o głębokich tonach, lecz wzbija się pod sklepienie, które pragnąłby zburzyć; następnie pada rozpacznie na kamienne płyty i z pomrukiem zstępuje do podziemi grobowych. I znów wypełza potajemnie i snuje się wzdłuż

murów, poczem, szeptem zdaje się odczytywać napisy mogilne. Przy jednych schrypłym wybucha śmiechem, przy innych żali się i wzdycha. A upiornie też działa, przycupnąwszy za którymś z ołtarzy; zda się tam dzikie zawodzić melodje o mordzie i nieszczęściu i oddawaniu czci fałszywym bogom, mimo tablic z przykazaniami, co wyglądają tak gładko i łacinie, chociaż często skalane były i pokruszone. Hu! Nas, siedzących w okół miłego ogniska, niechaj Bóg broni przed taką melodją! Bo straszny ma głos wicher o północnej godzinie, gdy w pustym śpiewa kościele!

A cóż dopiero wysoko w dzwonnicy! Tam dziki ten hulaka świszczy sobie i gwizda do woli! Wysoko w dzwonnicy, gdzie przez niejeden luk strzelisty i niejeden miły lufcik, może swobodnie wcisnąć się i wyniknąć, obracać się i wirować koło krętych schodów, wprawiać w ruch wrzaskliwy kurek na dachu i wstrząsać samą nawet wieżą! Wysoko w dzwonnicy, gdzie krokwie i żelazne rygle rdzą przegryzione, i mosiężne i ołowiane dachy skurczone od wiatru i słoty, skrzypią i trzeszczą pod niezwykłemi krokami; gdzie ptactwo buduje nędzne gniazda w kątach starych dębowych belek i wiązadeł, gdzie kurz szarzeje od starości, a centkowane pająki, rozleniwiałe w bezpieczeństwie, tłuste swe kadłuby kołyszą w takt drżących falowań dzwonów, nie tracąc równowagi w swych utkanych zamków napowietrznych, lub nagłym zdjęte niepokojem wspinają się jak majtkowie, albo osunąwszy się na ziemię puszczają w ruch dwadzieścia rączych nóżek, dla ratowania marnego życia! Wysoko w starej dzwonnicy, zdała od świateł i odgłosów miasta, pod mknącemi obłokami straszno jest w nocy i upiornie; a właśnie tam wysoko w starej dzwonnicy, znajdowały się dzwony, o których mam opowiadać.

Były to stare dzwony, chciejcie, mi wierzyć. Przed wiekami dzwony te zostały ochrzczone przez biskupów, przed tylu jednak wiekami, że dokumenty chrztu nie istniały od niepamiętnych już czasów, przeto nikt nie znał nazwy dzwonów. Miały one swego czasu swych ojców, chrzestnych i matki, a niewątpliwie też swe srebrne serca, ale czas skasił chrzestnych rodziców, a Henryk VIII przetopił serca; tak więc bez imion i łez serc wisiały w starej dzwonnicy.

A jednak nie były nieme. Przeciwnie, dzwony owe miały głosy dziwnie silne, donośne i dźwięczne, które na skrzydłach wiatru biegły daleko i szeroko. Były też dzwony te zbyt mocne, by się całkowicie poddawać kaprysom wiatru, a jeśli go zły humor trapił, to one śmiało mu się przeciwstawiały i pogodne ich dźwięki iście po królewsku rozbrzmiewały dla słuchających uszu, a jeśli się uparły w burzliwą noc dobiec do biednej matki, czuwającej nad chorem dzieckiem, albo do samotnej kobiety, której mąż był na rozhukanem morzu, to potrafiły wtedy zgłuszyć nawet szalejącą północno-zachodnią wichurę, jak to opowiadał Toby

Beck. Nazywał się Toby, jakkolwiek chętniej go nazywano Trotty Beck, a bez specjalnego aktu parlementarnego nikt go nie mógł nazwać inaczej (chyba Tobiaszem) jako że swego czasu — podobie jak dzwony przed niepamiętnemi wiekami został ochrzczony prawomocnie, jakkolwiek mniej uroczyście i z mniejszym współudziałem radosnych tłumów.

Co do mnie, to piszę się w zupełności na wierzenia Toba Becka i myślę, że dość miał czasu do wykrycia prawdy. I co mówił Toby Beck, to mówię i ja i staję po jego stronie, jakkolwiek on przez cały dzień boży (ciężka praca!) stał u drzwi kościoła. Toby Beck był bowiem posłańcem i tam czekał na klientów.

Do czekania tam zimową porą było to miejsce zbyt wietrzne, narażające na gęsia, skórkę i siny nos, odmrożenie palców i szczękanie zębami, o czem Toby Beck dobrze wiedział. Wiatr szarpiący wiał od rogu ulicy, mianowicie wiatr wschodni jak gdyby umyślnie przybył był z najdalszych krańców ziemi, by dąć na Toba. Czasem spotkał go wcześniej, niż się spodziewał, bo przemknąwszy koło zakrętu i Toba, nagle zawracał, jak gdyby mówił: „Ha, oto on!“ I zarzucał mu na głowę jego biały fartuszek, niby niegrzecznemu chłopcu; słaba trzcineczka napróżno prostowała się i broniła w ręce; nogi drżały i dygotały, a Tobem samym, obracając to w tę, to w ową stronę, wiatr tak potrząsał i miotał, tak go szczypał i szarpał, tak pchał i parł przed siebie, że tylko nieomal cudem, nie został żywcem porwany i jak rój żab, ślimaków, lub innych drobnych stworzeń, uniesiony w powietrzu w jakiś obcy zakątek ziemi, ku najwyższemu zdumieniu tubylców, dla których posłaniec jest wielkością nieznaną. A jednak wietrzny dzień, aczkolwiek tak przykry dla Toba, był dlań pewnego rodzaju świętem. Z całą pewnością. Czas wyczekiwania na zarobienie znów sześciu pensów, nie dłużył mu się tak bardzo na wietrze, jak przy pogodzie spokojnej; walka z gwałtownym żywiołem pochłaniała bowiem jego uwagę, przytem go odświeżała i podniecała, gdy naprzykład był głodny czy zniechęcony. Taksamo silny mróz lub śnieżyca była dla Toba wydarzeniem, które dobrze nań oddziaływało, jakkolwiek trudno byłoby określić, dlaczego; więc dnie wietrzne, mroźne, śnieżne zawieje i burze z gradem były w kalendarzu Toba podkreślone czerwonym ołówkiem.

Najgorszym jego wrogiem była natomiast pora deszczowa; zimna, brudna, przenikliwa wilgoć, otulająca go niejako mokrym płaszczem; jedynym, jaki Toby posiadał, a którego brak byłby dlań pożądanym. W dnie dżdżyste, kiedy deszcz padał powoli, gęsto, uporczywie, kiedy ulice przepełnione były mgłą, w której się omal dusił, kiedy wilgocią przesycone parasole pomykały to tu, to tam, okręcając się i obracając jak kręgle, uderzając o siebie na trotuarach pełnych ludzi, i pryskając w okół zimnemi kroplami, kiedy ścieki szumiały, a z rynw spływały strugi wody, kiedy z wystających murów kościoła plusk! plusk! plusk! sączyło

się na Toba, że wiązanka słomy, na której stał, w krótkim czasie zaczęła butwieć; w takie dnie Toba nawiedzała pokusa. Wtedy ze swej kryjówki w rogu kościoła — schronienie tak marne, że w lecie nie użyczało więcej cienia, niż go zwykła deska rzuca na bruk słoneczny — spoglądał tęsknie, z twarzą wydłużoną przez troskę. Gdy jednak w minutę później wyszedł stamtąd, by się rozgrzać ruchem, i kilkanaście razy przeszedł się tam i napowrót, odrazu się rozweselał i z jaśniejszą już twarzą znów zajmował stanowisko w swem wgłębieniu.

Nazywano go Trotty, czyli Kłusakiem od jego galopowania, które miało być szybkiem, jakkolwiek takiem nie było. Może a nawet prawdopodobnie, mógłby był chodzić szybciej; ale pozbawić Toba jego galopu znaczyłoby go przyprawić o chorobę i śmierć, jego galop obryzgiwał go błotem podczas słoty, kosztowało go niezmiernie dużo trudu; mógłby wszak chodzić nieporównanie wygodniej, ale to właśnie był powód dla którego obstawał przy swem szłapiącem galopowaniu. Z natury słaby, drobny, wątły, stary człowieczek, swemi dobremi zamiarami był Toby istnym Herkulesem. Chętnie zarabiał swe pieniądze. Przyjemność mu sprawiało przeświadczenie — Toby był bardzo biedny i nie mógł się tak łatwo wyrzekać przyjemności — że pieniądze swe nie zarabia w sposób grzeszny. Gdy za szylinga lub 18 pensów miał gdzieś pójść, lub odnieść mały pakunek, ożywiający go zapał wewnętrzny jeszcze bardziej się potęgował. Galopując wołał do szybko przed nim biegnących listonoszów, by mu ustąpili z drogi; święcie bowiem wierzył, że napewno ich wgniecie i przewróci w szybkim biegu; miał też głębokie, jakkolwiek nie często na próbę wystawiane przekonanie, że potrafi dźwigać wszystko, co ktokolwiek inny unieść zdoła.

Tak więc Toby galopował nawet wtedy, gdy w słotny dzień wyłaził ze swego schronienia, aby się rozgrzać. W butach podartych, pozostawiając na błocie krzywą linję miękkich śladów stóp, chuchając w zziębnięte ręce i rozcierając je, jako że od przenikliwego zimna chroniły je tylko wytarte szare wełniane rękawice, z osobną przegrodą dla wielkiego palca, a wspólną dla pozostałych; z podgiętemi kolanami i trzcinką pod pachą, Toby ciągle galopował.

Galopował nawet wtedy, gdy przechodził tylko na drugą stronę ulicy, by patrzeć na dzwonnicę, kiedy rozlegały się dźwięki dzwonów. Te ostatnią wycieczkę, urządzał sobie kilka razy dziennie, bo dzwony były przecież jego towarzyszami niedoli; gdy więc słyszał ich głosy, pragnął też poglądać ku ich domostwu i rozważać, w jaki sposób wprawiane są w ruch i jakie serca w nich uderzają. Zaciekawiały go te dzwony o tyle może więcej, że nasuwały rozmaite porównania z własną jego dolą. Wisiały tam bez względu na stan pogody, narażone na wichurę i słotę; widziały tylko zewnętrzną stronę wszystkich tych domów; nigdy nie zbliżały się zbytnio do tych błyszczących ogni, świecących do okien, lub wybuchających z kominów; nie brały udziału we wszystkich tych dobrych rzeczach, które przez drzwi od ulicy,

lub przez kraty okien kuchennych podawano kucharzom-smakoszom. W wielu oknach ukazywały się twarze i znów znikały: czasem ładne, młode, miłe twarze, czasem ich przeciwieństwo; Toby jednak (jakkolwiek często się nad tem zastanawiał, bezczynnie stojąc na ulicy) wiedział taksamo mało jak dzwony, skąd przychodziły i dokąd odchodziły, albo też, czy poruszając wargami, w ciągu całego roku wypowiedziały o nim choćby jedno życzliwe słowo.

Toby nie był kazuistą — a przynajmiej nie był nim świadomie — to też nie chcę powiedzieć, że w zaczątkach jego sympatji do dzwonów, gdy pierwsza bliższa z niemi znajomość zaczęła się kształtować analizował swe rozważania, lub też urządzał formalny przegląd swych myśli. To jednak chcę powiedzieć i mówię, że podobnie jak cielesne funkcje Toba, np. jego narządy trawienia, własną roztropnością i mnogą liczbą operacyj zgoła mu nieznanych, a których znajomość byłaby go wprawiła w ogromne zdumienie, dochodziły do pewnego celu — taksamo jego zdolności umysłowe bez jego wiedzy i współudziału wprawiły w ruch wszystkie kółka i sprężyny, w czasie powstawania jego sympatji do dzwonów.

A gdybym był powiedział: jego miłości, to nie cofnąłbym tego określenia, jakkolwiek nie wyrażałoby ono jego skomplikowanych uczuć. Bo jako człowiek prosty nadawał on im charakter dziwnie uroczysty. Były tak tajemnicze, nieraz je słyszano a nigdy ich nie widziano; umieszczone były tak wysoko, w takiej oddali, rozbrzmiewały tak głębokiemi, mocnemi tonami, że spoglądał ku nim z pewnego rodzaju czcią; a nieraz wpatrując się w ciemne łukowe okno wieży, zdawał się nawpół oczekiwać, że skinie nań coś, nie będące dzwonem, lecz tem, co tak często słyszał w melodji dzwonów. Mimo to Toby z oburzeniem odpierał krążące wśród ludzi podanie, że coś straszy w dzwonnicy, gdyż wskazywało to na możliwość łączenia dzwonów z jakiemiś złemi siłami. Jednem słowem, dzwony bardzo często dźwięczały mu w uszach i plątały mu się po głowie, ale zawsze w znaczeniu najlepszem, a bardzo często tak mu sztywniał kark od wpatrywania się z zadartą głową i otwartą gębą w wysoką dzwonnicę, w której wisiały, że następnie musiał raz czy dwa razy dłużej galopować, by pozbyć się tej sztywności.

To samo właśnie robił w pewien zimny dzień, gdy ostatni senny dźwięk godziny dwunastej, niby olbrzymia melodyjnie pobrzękująca, lecz wcale nie pracowita pszczoła, wybiegały z wieżycy.

— Ach, południe! rzekł Toby, galopując przed kościołem tam i napowrót — Ach!

Nos Toba był bardzo czerwony i powieki jego były bardzo czerwone i często niemi mrugał i w górę podnosił ramiona, że niemal dotykały uszu, a nogi miał całkiem zdrętwiałe; krótko mówiąc, temperatura jego zbliżała się do punktu zamarznięcia.

— Ach, południe! powtórzył Toby, posługując się swą rękawiczką z prawej ręki jak małą bokserską i chłoszcząc nią swą pierś, zato, że była zimną. Ach-ch-ch!

Poczem znów przez jakie dwie minuty galopował w milczeniu.

— To nic — znów począł Toby, (ale nagle przerwał i z wyrazem wielkiego zainteresowania, a także pewnego niepokoju zaczął starannie obmacywać swój nos, w całej jego długości. Wnet był z tem gotów, gdyż nos jego nie posiadał rozmiarów imponujących.

— Myślałem, że odpadł — rzekł Toby do siebie, galopując dalej. — Wszystko jednak w porządku, bo prawda, nie mógłbym mu robić wyrzutów, gdyby się oddalił; ciężką ma służbę w tem zimnie, a niewiele może się spodziewać, jako że nigdy nie miewam kataru. W najlepszym wypadku, biedne to stworzenie dosyć się namęczy; bo jeśli nawet czasem powącha coś dobrego, co się rzadko zdarza, to tylko z cudzych rondli.

Myśl ta nasunęła mu drugą, której nie doprowadził był do końca.

Niema nic regularniejszego — mówił; do siebie Toby — od powracania pory południowej, a nic nieregularniejszego od powracania posiłku południowego. Na tem polega wielka różnica. Wiele potrzeba było czasu, zanim to odkryłem. Radbym wiedzieć, czyby się też jakiemuś dżentelmanowi opłaciło zakupić to spostrzeżenie dla jakiejś gazety lub parlamentu!

Toby tylko żartował, gdyż sam poważnie kręcił głową w dowód nieufności. Gazety — rozmyślał, dalej Toby — same przecież mają dość spostrzeżeń, a taksamo parlament. Oto ostatni numer tygodnika. Wyjął z kieszeni bardzo brudną gazetę i rozłożył ją na łokieć odległości od oczu. — Pełno w niej spostrzeżeń! pełno spostrzeżeń! Już to ja naprawdę z największem upodobaniem czytuję, gazety — powoli mówił Toby, znów składając gazetę i wsuwając ją do kieszeni — ale teraz, to gazetę czytuję ze wstrętem. Wprost mnie przejmuje lękiem. Nie wiem, co się stanie z nami biedakami. Dałby Bóg, by najbliższy Nowy Rok przyniósł nam coś lepszego!

Tatku! tatku! ozwał się miły głos tuż w pobliżu.

Ale Toby nic nie słyszał, w dalszym ciągu galopując tam i napowrót, w głębokiej zadumie mówiąc do siebie samego.

— Zdaje się, że nie umiemy znaleść należytej drogi, czy też postępować jak należy, lub może zdobyć sobie praw — mówił Toby. Co do mojej osoby, to niewiele się uczyłem zamłodu i nie mogę wymiarkować, czy mamy coś do czynienia na ziemi, czy nie mamy. Nieraz sobie myślę, że musimy chyba mieć tu trochę do czynienia, a innym razem myślę znowu, że jesteśmy tu tylko intruzami. Nieraz mi się wszystko tak pomąci w głowie, że nie jestem w stanie wyrozumieć, czy jest w nas co dobrego, czy też z natury jesteśmy źli. Zdaje się, że popełniamy rzeczy straszne; zdają się, że spełniamy wielki trud i prace; zawsze się jednak na

nas uskarżają i zawsze się przed nami mają na baczności. W ten czy ów sposób, nami zapełniają gazety. I mówić tu o Nowym Roku! — smutnie mamrotał Toby. —]a już potrafię wytrzymać; tyle co każdy inny, a przeważnie nawet więcej, bo mocny jestem jak lew, co nie każdy może o sobie powiedzieć. Przyjąwszy jednak, że naprawdę tak jest, że nie mamy prawa do Nowego Roku... przyjąwszy że jesteśmy tylko narzucajacymi się wtrętami...

— Hola, tatku, tatku!, znów się ozwał miły głos. Tym razem go Toby usłyszał, wzdrygnął się, przystanął i cofając wzrok, w dal wysłany, jakby dla zdobycia wyjaśnienia w sercu Nowego Roku, ujrzał się naprzeciw swej córki i spojrzał jej w oczy, w które spoglądać mógł cały świat i nie zbadać ich głębi. Oczy czarne, odbijające te oczy, które, się w nie wpatrywały; nie rzucające błysków, chyba gdy właścicielka ich miała po temu ochotę, lecz pełne jasnych, spokojnych, trwałych i głębokich promieni, spokrewnionych ze światłem, przez niebo do bytu powołanem. Piękne, wierne oczy, promienne nadzieją, młodą, świeżą nadzieją; tak przepełnione nadzieją, tak silne i jaśniejące, mimo dwudziestu lat pracy i ubóstwa, na które już spoglądały, że dla Toba stały się one głosem, który rzekł: — Myślę, że mamy coś do czynienia na ziemi — choćby trochę!

Toby ucałował usta, należące do tych oczu i ręce przytulił do kwitnącej twarzyczki.

— Cóż, Małgosiu — rzekł — co słychać? Nie spodziewałem się, że dziś przyjdziesz.

— I ja się tego nie spodziewałam — odrzekła dziewczyna, kołysząc głową i uśmiechając się. — Jestem jednak! I w dodatku nie sama, nie sama!

Nie chcesz chyba powiedzieć — odparł Trotty, z ciekawością przyglądając się zakrytemu koszowi, który niosła na ręce, żeś...

— Spójrz tylko, tatku — rzekła Małgosia — powąchaj!

Trotty w wielkim pośpiechu, odrazu chciał podnieść pokrywę, ale dziewczyna żartem ją przytrzymywała.

— Nie, nie, nie! broniła, w dziecinnem rozbawieniu. — Musisz sobie trochę przedłużyć przyjemność. Trochę tylko odchylę pokrywę kosza — tylko troszeczkę... I zrobiła to z największą ostrożnością, mówiąc przytem tak cicho, jakby się obawiała, że coś w koszyku usłyszy jej słowa. — Tak! więc co tam jest?

Toby najskwapliwiej obwąchał brzeg kosza i wykrzyknął z zachwytem: — Ach, tam jest coś gorącego!

— Wrzącego! potwierdziła Małgosia. — Ha, ha, ha! coś wrzącego!

— Ha, ha, ha! zaśmiał się Toby, podskakując do góry. — Coś wrzącego!

— Ale co? pytała Małgosia. — Chodź, ojcze, nie odgadłeś jeszcze, co tam jest. A musisz to zrobić. Ani myślę otworzyć kosza, zanim odgadniesz, tylko nie tak spiesznie! Poczekaj

chwileczkę! Odrobinkę jeszcze odchylę pokrywę! A teraz odgadnij!

Małgosia wprost się lękała, by nie odgadł zbyt szybko; cofała się, podsuwając mu kosz; podnosiła do góry swe kształtne ramiona; zatykała sobie ucho ręką, jak gdybv w ten sposób mogła cofnąć z ust Toba trafną odpowiedź, a przez cały czas chichotała z cicha.

Toby tymczasem, kładąc rękę na każdem kolanie, pochylił się nad koszem i nosem głęboko wciągnął wydobywającą się woń, cichy uśmiech na jego ogorzałej twarzy rozprzestrzeniał się, jak gdyby wchłaniał gaz rozweselający.

— Ach! to coś bardzo dobrego — rzekł Toby. — To jest... nie, to pachnie delikatniej niż kiełbasa. Pachnie nadzwyczajnie. I coraz ponętniej. Za ostra ta woń na cielęce nóżki. To nie nóżki!

Małgosia nie posiadała się z radości. Nie mógł, by się już bardziej pomylić! Cielęce nóżki, albo kiełbasa... Ha, ha, ha!

— Czyżby wątroba? zadawał sobie pytanie. — Nie, pachnie tak jakoś miękko, że nie może być wątroba. Świńskie nóżki? Nie. Na świńskie nóżki to znów zapach zbyt wyraźny. Na głowy kogucie znów za mało ostry. A kiszki też nie są. Teraz ci już powiem, co jest: kruszki!

— Nie, nie kruszki! serdecznie się śmiała Małgosia. — Nie, nie zgadłeś!

— Och, co ja też mówię! rzekł Toby, przybierając nagle postawę możliwie najbardziej prostopadłą. — Wnet już nie będę wiedział, jak się sam nazywam. Przecież to flaki!

Tak było istotnie, a Małgosia promieniejąc radością, zapewniała go, iż za pół minuty przyzna, że nigdy w życiu nie jadł lepszych flaków.

— A teraz — mówiła Małgosia, żywo zajmując się koszem — zaraz już nakryję, tatku! bo flaczki przyniosłam w misce, a miskę obwiązałam chustą; a skoro raz chcę być tak dumną użyć jej jako obrusa, to żadna ustawa nie może mi tego zabronić; nieprawdaż, tatku?

— Chyba nie, moje dziecko — odparł Toby; — jakkolwiek oni tam co chwila z coraz to inną występują ustawą.

— A pamiętasz, tatku, co ci niedawno odczytałam z gazety, o tym sędziu, który powiedział, że my, biedacy, powinniśmy znać wszystkie ustawy. Ha, ha, to niezłe! Wielki Boże, za jak mądrych oni nas uważają!

Tak, moje dziecko — odparł Toby — i szanowaliby też takiego, coby je znał naprawdę. Utyłby przy robocie, jaką by otrzymał i cieszyłby się sympatją wszystkich ludzi wykształconych. Z pewnością!

I z apetytem jadłby swój obiad gdyby tak pachniał jak ten — wesoło rzedła Małgosia. — A teraz szybko, tatku, bo jest też kilka gorących kartofli i pół butelki piwa. Gdzie chcesz jeść: na słupie, czy na schodach? Ach Boże, jakie z nas wielkie państwo! Mamy do wyboru dwa

miejsca.

Dziś na schodach, Małgosiu — odparł Toby. — Przy pogodzie na schodach, podczas deszczu na słupie. Na schodach zawsze wygodniej, bo można usiąść; ale w słotę spływają z nich całe rzeki.

— Więc tu — rzekła Małgosia, klaszcząc w dłonie. — Wszystko gotowe! I ładnie wygląda! Siadaj tatku, siadaj!

Od chwili, gdy Trotty odgadł, co kosz zawiera, stał nieruchomy, patrząc i mówiąc do niej w roztargnieniu; wyraźny znak, że jakkolwiek, pomijając nawet flaki, ona była przedmiotem, trzymającym na uwięzi jego oczy i myśli, to jednak ani nie myślał o niej, ani jej nie widział takiej, jaką była w danej chwili, lecz jakiś fantastyczny, nieokreślony obraz czy dramat jej przyszłego życia majaczył w jego wyobraźni. Żywem jej wezwaniem zbudzony ze snu, chciał melancholijnie potrząsnąć głową, lecz się opanował i galopem podbiegł ku niej. W chwili gdy chciał usiąść, ozwały się dzwony.

— Amen! rzekł Trotty, zdejmując kapelusz i wznosząc ku nim oczy.

— Tatku, amen mówisz do dzwonów? spytała Małgosia.

— Bo głosy ich, córeczko, zabrzmiały mi nagle jak modlitwa! odparł Trotty, siadając. — Piękną by one odmawiały modlitwę, gdyby umiały. Mnie one mówią tyle rozmaitych rzeczy.

— Dzwony, tatku? zaśmiała się Małgosia, stawiając przed nim miskę i kładąc obok nóż i widelec. — Co też ty mówisz!

— No mnie się zdaję, że opowiadają mi wiele rzeczy — odparł, z wielkim apetytem zabierając się do obiadu. — A cóż to za różnica? Skoro ja je słyszę, to co na tem zależymy mówię, czy nie? Ach, Wielki Boże — mówił dalej, widelcem wskazując wieżę i coraz bardziej ożywiając się przy jedzeniu. — Ileż to razy słyszałem, jak dzwony te mówiły: „Toby Beck, Toby Beck, bądź dobrej myśli. Toby Beck, Toby Beck, bądź dobrej myśli!“ Jakie miljon razy to słyszałem!

— Coś takiego! rzekła Małgosia.

Nieraz to już jednak słyszała, gdyż Toby ustawicznie mówił o dzwonach.

— Gdy intereresa źle idą — mówił Toby — tak bardzo źle, że już nie może być gorzej, one mi zawsze dzwonią: „Toby Beck, Toby Beck, wnet się coś zdarzy.“

— I ostatecznie się zdarzy, tatku — rzekła Małgosia z odcieniem smutku w melodyjnym głosie.

— Zawsze — potwierdził Toby, bez żadnej podejrzliwości. — Nigdy mnie nie zawiodły.

Podczas tej rozmowy, Toby bez przerwy przypuszczał atak do stojącego przed nim pachnącego posiłku, krając i jedząc, krając i popijając, krając i żując, od flaków przechodząc

do kartofli, a od kartofli do flaków, z doskonałym, niesłabnącym apetytem. Gdy jednak w pewnej chwili przypadkiem się rozejrzał po ulicy — na wypadek, gdyby ktoś z okna, czy drzwi przyzywał może posłańca — oczy jego w drodze powrotnej spotkały się ze spojrzeniem Małgosi, która, siedząc naprzeciw niego z założonemi rękoma, z radosnym uśmiechem przyglądała się jego postępom w jedzeniu.

— Niech mi Bóg wybaczy! wykrzyknął Toby, opuszczając nóż i widelec. — Moja gołąbko, Małgosiu! Czemu mi nie zwróciłaś uwagi, że jestem tak nieroztropny?

— Jakto, tatku?

— Ot, siedzę tu — ze skruchą tłómaczył się Toby — i napycham sobie żołądek i brzuch, a ty siedziś przedemną na czczo i pościsz i nie chcesz jeść, gdy...

— Ja już jadłam, tatku — przerwała córka. — O poszczeniu niema mowy; jadłam także.

— Głupstwo — odparł Trotty. — obiad dla dwojga tego samego dnia! To niemożliwe! Taksamo mogłabyś mi opowiadać o dwóch świętach Nowego Roku w tymsamym dniu, albo o tem, że przez całe życie posiadałem funt sterlingów go nie naruszyłem.

— A jednak jadłam obiad rzekła Małgosia, podchodząc bliżej. — Jeśli się oapowrót zabierzesz do swojego, to ci zaraz opowiem, jakim sposobem się to stało i gdzie; i powiem ci też, jak mi było możliwem tobie coś przynieść i... i jeszcze coś innego.

Toby wciąż jeszcze niedowierzał, ale córka spojrzała nań tak serdecznie i kładąc mu rękę na ramieniu, prosiła, by jadł, dopóki jeszcze wszystko ciepłe; tedy Trotty znów ujął nóż i widelec i ponownie zabrał się do dzieła, ale znacznie powolniej niż wpierw i potrząsając głową, jak gdyby wcale nie był z siebie zadowolony.

— Ja — poczęła Małgosia po chwilowem wahaniu — jadłam obiad z Ryszardem. Wcześnie, dziś obiadował, a ponieważ przyniósł z sobą jedzenie, odwiedzając mnie, więc... się niem podzieliliśmy.

Trotty połknął łyk piwa i oblizał się. Poczem w odpowiedzi, na którą córka zdawała się czekać, rzekł: — O — do!

— I Ryszard mówi, tatku — podjęła znów Małgosia, lecz zaraz urwała.

— Cóż on mówi, Małgosiu? spytał Toby.

— Ryszard mówi, tatku... znów urwała.

— Ryszard coś mówi długo — zauważył Toby.

— Mówi więc — znów zaczęła Małgosia, podnosząc wreszcie oczy i mówiąc wprawdzie głosem drżącym, lecz wyraźnym — Ryszard mówi, że znów upłynął rok i naco się zda czekać z roku na rok, gdy przecież nieprawdopodobnem jest, by się nasze położenie zmienić miało na lepsze? On mówi, tatku, że teraz jesteśmy biedni, a później też będziemy biedni; ale teraz

jesteśmy młodzi, a lata nas uczynią starymi, zanim się opatrzymy. On mówi, że gdyby tacy biedacy jak my, chcieli czekać, aż nam się droga uprości, to wpierw dostalibyśmy się na te wąską drogę, która wszystkich wiedzie... do grobu.

Człowiek bystrzejszy niż Trotty Beck, musiałby skupić całą bystrość umysłu, by móc temu zaprzeczyć. Trotty milczał.

— I pomyśl, tatku, jak smutno byłoby się zestarzeć i umrzeć z myślą, że mogliśmy się przecież wzajem pocieszać i wzajem sobie pomagać. Jak ciężko byłoby nam kochać się przez całe życie, gdy każde pracowałoby i dręczyło się z osobna i patrzyło, jak drugie męczy się i starzeje i siwieje. Nawet w najlepszym wypadku, gdybym go potrafiła zapomnieć (czego nigdy nie potrafię) jakże ciężko, ojcze kochany, mieć serce tak gorące jak moje i czuć, jak ono stopniowo usycha, i nie mieć ani jednego wspomnienia szczęśliwej chwili w życiu, któreby mi pozostało, gdy wszystko mnie opuści i pocieszało nie i uszlachetniało!

Trotty siedział całkiem cicho, Małgosia ocierała łzy z oczu, poczem mówiła już weselej, to śmiejąc się, to wzdychając, to się śmiejąc i wzdychając równocześnie: — Tedy Ryszard mówi, tatku, że ponieważ na jakiś czas ma zapewnioną robotę, a ja go kocham już całe trzy lata — ach, nawet dłużej, chociaż on o tem nie wie — więc w dniu Nowego Roku się pobierzemy. On mówi, że to najlepszy i najszczęśliwszy dzień w roku i niemal z pewnością przynosi szczęście. Wprawdzie to krótki termin nieprawdaż, tatku? — ale nie potrzebujemy przecież czekać na uporządkowanie moich spraw majątkowych, ani na uszycie ślubnej sukni, jak u wielkich pań. Czyż nie, tatku? Tyle powiedział i jak on to umie, tak poważnie i stanowczo, a przytem tak dobrotliwie i serdecznie, że mu odpowiedziałam, że pójdę do ciebie, tatku i się z tobą rozmówię. A ponieważ mi dziś rano niespodzianie zapłacono za robotę, a ty przez cały tydzień miałeś pożywienie bardzo skąpe, a przytem pragnęłam, by dzisiejszy dzień stal się potrosze świętem dla ciebie, a dla mnie dniem szczęśliwym, więc zrobiłam małą ucztę, tatku kochany, i przyniosłam ją, by ci zrobić niespodziankę.

— I patrz, jak on jej pozwala stygnąć na schodach! ozwał się inny głos. Był to głos tegoż Ryszarda, który zbliżył się niespostrzeżenie i nagle stanął przed ojcem i córką z twarzą tak płonącą, jak owe rozpalone żelazo, na które co dnia spadało jego ciężkie kowadło. Był to urodziwy, dobrze zbudowany, silny młodzian, o oczach, które błyszczały jak płonące iskry, wystrzelające z pieca; z czarnemi włosami, układającemi się wspaniale dokoła śniadych skroni i z uśmiechem, który usprawiedliwiał pochwalne słowa Małgosi o jego sposobie mówienia.

— Patrz, jak on pozwala wszystkiemu stygnąć na schodach! rzekł Ryszard. — Małgosia nie wie, co ojciec lubi. Naprawdę, że nie wie!

Trotty rozpłomieniony w jednej chwili, podał Ryszardowi rękę i chciał mu z wielkim zapałem coś odpowiedzieć, gdy niespodzianie otworzyły się drzwi domu, a wychodzący z nich służący omal nie wdepnął w miskę z flakami.

— Usuńcie się z drogi! Zawsze musicie tu siadać na naszych schodach! Nie możecie to pójść raz do naszych sąsiadów, albo gdzie! No, z drogi! Ustąpicie się, czy nie?

Ściśle biorąc, to ostatnie pytanie było zbyteczne, bo się już usunęli.

— Co jest? co się dzieje? spyta! pan, przed którym otworzono właśnie drzwi, gdy krokiem nawpół ociężałym, dziwnie łączącym w sobie szybki chód i powolny pośpiech, wyszedł z domu — owym krokiem, jakim mężczyzna, schodzący już z góry żywota, noszący skrzypiące obuwie, łańcuszek przy zegarku i czystą bieliznę, nietylko nie ubliżając własnej godności, lecz nadając sobie nawet pozór, że czekają go korzystne i zyskowne interesa, zwykł był wychodzić z domu. —

Co jest? co się dzieje?

— Zawsze was trzeba na kolanach prosić i błagać — z wielkim zapałem zwrócił się służący do Toba Becka — byście nasze schody zostawili w spokoju. Czemu tu wciąż przychodzicie? Nie możecie się trzymać zdala?

— No, dobrze już, dobrze! ozwał się pan. Hola, człowieku! i głową skinął na Toba Becka, — Zbliżcie się. Co tam macie? To wasz obiad?

— Tak, proszę pana — odparł Trotty, w kącie pozostawiając swą strawę.

— Nie zostawiajcie tam jedzenia! zawołał pan. — Przynieście mi je tutaj. Tak! Czy to wasz obiad?

— Tak, proszę pana — odrzekł Trotty, z napływającą do ust ślinką wpatrując się w kawał flaka, który odłożył sobie jako ostatni najlepszy kąsek, a który pan przewracał teraz i odwracał z jednej strony na drugą.

Inni dwaj panowie wyszli teraz za pierwszym. Jeden z nich był zgnębionym jegomościem, średniego wieku, mizernie ubranym i z miną niezadowoloną. Stale trzymał ręce w kieszeniach swych ciasnych spodni, nieokreślonego kołom soli i pieprzu, wskutek czego kieszenie te mocno były rozepchane — i niezbyt starannie był obmyty i uczesany. Drugi pan nosił błękitny frak z błyszczącemi guzikami i biały krawat. Miał twarz bardzo czerwoną, jak gdyby zawiele krwi z jego ciała dopływało do głowy, co może było powodem, że zdawał się mieć serce dość zimne.

Ten, który widelcem na wszystkie strony obracał obiad Toba, przywołał pierwszego, którego nazywał Filerem i obaj nachylili się nad miską. Ponieważ Filer był bardzo krótko widzącym, więc musiał się tak nisko pochylić, by rozpoznać, jaka to potrawa, że Tobowi serce zamarło w